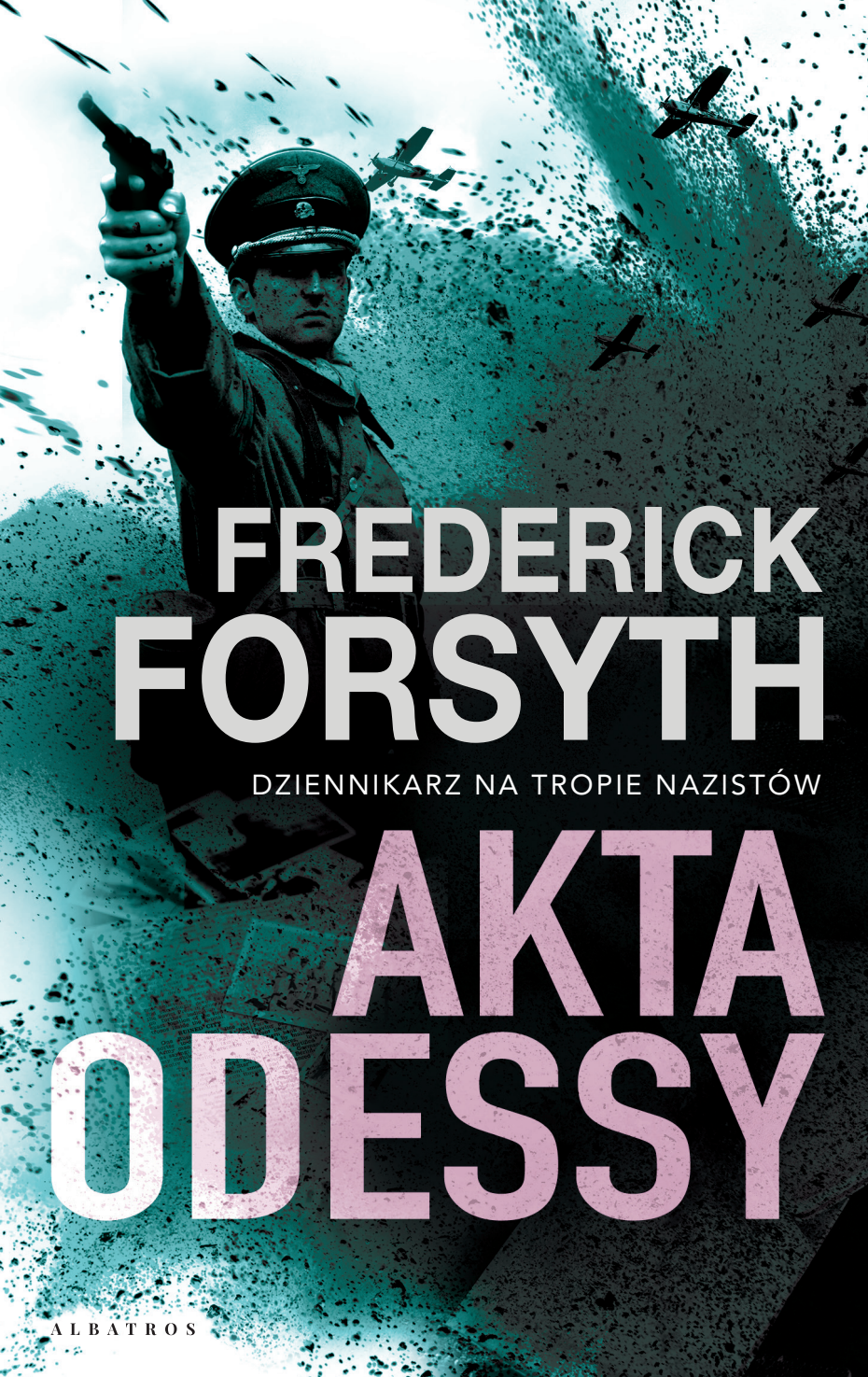




**FREDERICK
FORSYTH**

DZIENNIKARZ NA TROPIE NAZISTÓW

**AKTA
ODESSY**

ALBATROS

Rozdział pierwszy

Wydaje się, że każdy doskonale pamięta, co robił dwudziestego drugiego listopada 1963 roku, gdy dowiedział się o śmierci Johna Kennedy'ego. Amerykański prezydent został zastrzelony o dwunastą dwadzieścia dwie lokalnego czasu Dallas; wiadomość o jego śmierci podano o trzynastej trzydzieści tego samego czasu. W Nowym Jorku była wtedy czternasta trzydzieści, w Londynie dziewiętnasta trzydzieści, a w Hamburgu dwudziesta trzydzieści.

Peter Miller wracał tego dnia samochodem do centrum Hamburga, odwiedzwszy matkę mieszkającą w Osdorfie, jednym z odległych przedmieść miasta. Było zimno i padał deszcz ze śniegiem. Zawsze odwiedzał matkę w piątek wieczorem – chciał sprawdzić, czy zrobiła niezbędne zakupy na weekend, a ponadto czuł się zobowiązany składać jej wizytę raz na tydzień. Gdyby miała telefon, po prostu by dzwonił, ale go nie posiadała, więc jeździł do Osdorfu. Właśnie dlatego nie chciała zainstalować telefonu.

Miller miał jak zwykle włączone radio i słuchał muzyki nadawanej przez Norddeutscher Rundfunk. O wpół do dziewiątej znajdował się na szosie w Osdorfie, dziesięć minut jazdy od mieszkania matki, gdy nagle przerwano w pół słowa piosenkę i rozległ się pełen napięcia głos spikera:

– *Achtung, Achtung!* Nadajemy ważny komunikat. Prezydent Kennedy nie żyje. Powtarzam, prezydent Kennedy nie żyje.

Miller oderwał wzrok od ulicy i popatrzył na podświetloną skalę częstotliwości w górnej części radia, jakby się spodziewał, że to, co zobaczy, zaprzeczy temu, co usłyszał. Może odbierał niewłaściwą stację, która nadaje nonsensy?

– Jezu... – szepnął, nacisnął pedał hamulca i zjechał na prawe pobocze. Rozejrzał się. Na długiej, szerokiej, prostej autostradzie prowadzącej z Altony do śródmieścia Hamburga inni kierowcy usłyszeli tę samą wiadomość i również zjeżdżali na pobocze, jakby nie byli w stanie jednocześnie słuchać radia i prowadzić auta.

Miller widział zapalające się światła stopu samochodów jadących przed nim; kierowcy skręcali w prawo i zatrzymywali się, by słuchać nadawanych wiadomości. Po lewej stronie przednie reflektory aut wyjeżdżających z miasta zaczęły się gwałtownie kołysać; tamci kierowcy również skręcali w kierunku chodnika. Wyprzedziły go dwa samochody. Pierwszy z nich zatrał gniewnie, a Miller zauważył, że kierowca stuka się w czoło, dając do zrozumienia, że uważa go za wariata.

Wkrótce się dowie, pomyślał.

Radio przestało nadawać lekką muzykę, którą zastąpił marsz żałobny – najwyraźniej spiker miał go pod ręką. Od czasu do czasu odczytywał najnowsze wiadomości podawane przez agencje informacyjne. Pojawiły się szczegóły na temat zamachu: jazda otwartym autem przez Dallas, strzelec wyborowy w oknie magazynu podręczników szkolnych. Nie wspomniano o aresztowaniu sprawcy.

Z auta znajdującego się z przodu wysiadł kierowca i podszedł do wozu Millera. Zbliżył się do lewych drzwi jaguara, po czym zorientował się, że miejsce kierowcy z jakichś niezrozumiałych powodów znajduje się po prawej stronie, i obszedł samochód. Nosił kurtkę z kołnierzem ze sztucznego futra. Miller opuścił szybę.

– Słyszał pan? – spytał mężczyzna, pochylając się w stronę okna.

– Tak – odpowiedział Miller.

– Niewiarygodne! – rzucił mężczyzna. W całym Hamburgu, Europie i na całym świecie zupełnie obcy ludzie rozmawiali ze sobą o zamachu na Kennedy’ego. – Myśli pan, że to komuniści? – spytał.

– Nie wiem.

– Jeśli to oni, może to oznaczać wojnę – rzekł mężczyzna.

– Prawdopodobnie – odparł Miller. Chciał, by nieznajomy sobie poszedł. Jako dziennikarz wyobrażał sobie chaos panujący w redakcjach gazet w całych Niemczech; pośpieszenie wzywano pracowników, by przygotować na jutro rano wydanie specjalne. Należało napisać nekrologi, zredagować, złożyć i złamać setki szpalt. Nieustannie dzwoniły telefony,

a dziennikarze usiłowali zdobyć coraz więcej informacji na temat śmierci człowieka, który leżał teraz na stole sekcyjnym w Dallas.

W tym momencie Miller żałował, że nie jest stałym pracownikiem którejś z gazet. Trzy lata wcześniej został wolnym strzelcem; specjalizował się w dziennikarstwie śledczym i pisał artykuły dotyczące przestępczości, policji i kryminalnego półświatka. Matce bardzo się to nie podobało i twierdziła, że się zadaje z „podejrzanymi typami”. Argumenty Millera, że stał się jednym z najbardziej popularnych dziennikarzy śledczych w Niemczech, nie były w stanie jej przekonać, że jest to praca godna jej jedynego syna.

Słuchając wiadomości nadawanych przez radio, Miller intensywnie myślał, jak wykorzystać śmierć Kennedy’ego do napisania artykułu związanego z Niemcami, który można by sprzedać miejscowej prasie. Reakcją rządu niemieckiego zajmą się dziennikarze z Bonn; redakcje berlińskie będą pisać o wizycie amerykańskiego prezydenta w tym mieście w czerwcu zeszłego roku. Nie był w stanie wymyślić żadnego ciekawego tematu mogącego zainteresować jeden z niemieckich kolorowych tygodników, z którymi współpracował.

Mężczyzna pochylający się nad oknem zauważył, że Miller myśli o czymś innym, i uznał to za oznakę żalu po śmierci prezydenta. Szybko przestał mówić o groźbie wybuchu wojny światowej i przybrał ten sam poważny wyraz twarzy.

– *Ja, ja, ja...* – mruknął z mądrą miną, jakby od dawna przewidywał taki rozwój wydarzeń. – Amerykanie to ludzie

skłonni do przemocy, mówię panu, skłonni do przemocy. Jest w nich rys brutalności, której Niemcy nigdy nie rozumieją.

– Jasne – odrzekł Miller z roztargnieniem. Mężczyzna wreszcie zrozumiał, że Peter nie ma ochoty z nim rozmawiać.

– Cóż, muszę jechać do domu – rzekł i wyprostował się. – *Grüss Gott*. – Ruszył stroną swojego samochodu.

Miller ocknął się z zamyślenia.

– *Ja, gute Nacht!* – zawołał przez otwarte okno, po czym zamknął je, ponieważ od strony Łaby zaciął wiatr niosący deszcz ze śniegiem. Z radia dobiegał marsz żałobny, a spiker poinformował, że tego wieczoru nie będzie nadawana muzyka rozrywkowa, tylko komunikaty z najnowszymi wiadomościami i muzyka poważna.

Miller usiadł wygodnie na skórzanym siedzeniu swojego jaguara, oparł się i zapalił roth-händla, mocnego papierosa bez filtra o brzydkim zapachu – była to kolejna rzecz, na którą skarżyła się jego matka.

Zawsze istnieje pokusa zastanawiania się, co by było, gdyby... Zwykle jest to bezsensowne zajęcie, ponieważ to, co mogłoby się wydarzyć, na zawsze pozostanie zagadką. Jednak można przypuszczać, że gdyby Miller nie miał tego wieczoru włączonego radia, nie zatrzymałby się na poboczu drogi na pół godziny, nie zauważyłby karetki pogotowia, nie dowiedziałby się o istnieniu Salomona Taubera ani Eduarda Roschmanna, a blisko trzy i pół roku później państwo Izrael prawdopodobnie przestałoby istnieć.

Dopalił papierosa, wciąż słuchając radia, opuścił szybę i wyrzucił niedopałek na ulicę. Uruchomił silnik jaguara XK

150 S; maszyna zawyla pod długą pochyłą maską jak rozwścieczone zwierzę, po czym zaczął z niej dobiegać spokojny, zadowolony pomruk. Miller zapalił reflektory, spojrzął do tyłu i włączył się w strumień aut jadących drogą do Osdorfu.

Dojechawszy do Stresemannstrasse, zatrzymał się na czerwonym świetle, gdy nagle usłyszał za sobą sygnał karetki pogotowia. Minęła go z lewej strony, zwolniła nieco, przejechała skrzyżowanie na czerwonym świetle, nieznacznie zwolniła, po czym przemknęła Millerowi tuż przed nosem i skręciła w prawo w Daimlerstrasse. Zareagował odruchowo. Puścił sprzęgło i jaguar ruszył w odległości dwudziestu metrów za karetką.

Po chwili zaczął żałować, że nie pojechał prosto do domu. Prawdopodobnie nie było to nic ciekawego, choć nigdy nie wiadomo. Karetka pogotowia oznaczały kłopoty, a kłopoty mogły oznaczać temat na artykuł, zwłaszcza gdy dotarło się na miejsce jako pierwszy, a akcja ratunkowa zakończyła się przed przybyciem etatowych reporterów zatrudnionych w gazetach. Mógł to być duży wypadek samochodowy, pożar w magazynach portowych lub w kamienicy czynszowej, gdzie na wyższych piętrach zostały uwięzione dzieci. Możliwości były niezliczone. Miller zawsze woził ze sobą w schowku w desce rozdzielczej aparat fotograficzny z fleszem, ponieważ nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się wydarzy na jego oczach.

Znał człowieka, który szóstego lutego 1958 roku czekał na samolot na lotnisku w Monachium – kilkaset metrów od miejsca, gdzie stał, rozbiła się maszyna wioząca zespół piłkarski Manchesteru United. Nie był zawodowym fotografem, po

prostu wyjął aparat, który wziął ze sobą na narty, i pstryknął pierwsze zdjęcia płonącego samolotu. Kolorowe tygodniki zapłaciły mu za nie przeszło pięć tysięcy funtów.

Karetka skręciła w labirynt wąskich, brudnych uliczek Altony. Minęła stację kolejową i ruszyła w stronę rzeki. Ktokolwiek siedział za kierownicą sanitarki Mercedesa, znał Hamburg i umiał dobrze prowadzić. Jaguar mógł rozwijać większą prędkość, ale miał twardsze resory; Miller czuł tylne koła podskakujące na śliskich kocich łbach.

Przejechał koło sklepu z częściami samochodowymi firmy Menck i dwie ulice dalej dotarł na miejsce. Karetka skręciła w biedny, zaniedbany, słabo oświetlony zaułek, w którym stały zrujnowane kamienice i bloki mieszkalne. Zatrzymała się przed jednym z nich, gdzie parkował już wóz policyjny. Na dachu samochodu kręciło się niebieskie światło, rzucając widmowy poblask na twarze gapiów tłoczących się koło drzwi.

Krzepki sierżant policji w pelerynie przeciwdeszczowej krzyknął do zgromadzonych, by się cofnęli i pozwolili karetce podjechać do drzwi. Samochód wślizgnął się w powstałą lukę. Kierowca i sanitariusz wysiedli, pobiegli do tylnych drzwi samochodu i wyciągnęli puste nosze. Zamienili kilka słów z sierżantem i pośpieszyli na górę.

Miller zaparkował jaguara w odległości dwudziestu metrów po przeciwnej stronie ulicy. Uniósł ze zdziwieniem brwi. Nie był to wypadek ani pożar, nic nie groziło żadnym dzieciom. Prawdopodobnie po prostu ktoś dostał zawału. Wysiadł z samochodu i podszedł do grupki ludzi stojących półkołem

przed wejściem do kamienicy; sierżant policji usiłował ich odsunąć, by zrobić drogę dla sanitariuszy.

– Mogę wejść na górę? – spytał Miller.

– W żadnym wypadku. Osoby postronne nie mają tu wstępu.

– Jestem dziennikarzem – rzekł Miller i pokazał hamburską legitymację prasową.

– A ja jestem policjantem – odpowiedział sierżant. – Nikomu nie wolno wchodzić. Schody są wąskie i niebezpieczne. Za chwilę zejdą sanitariusze.

Sierżant pełniący służbę w jednej z niebezpiecznych dzielnic Hamburga był potężnie zbudowanym mężczyzną, miał około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu. W swojej przeciwdeszczowej pelerynie stał z rozpostartymi ramionami, powstrzymując napierających gapiów. Stanowił zaporę nie do przebycia.

– Co się tu stało? – spytał Miller.

– Nie wolno mi udzielać informacji. Proszę spytać później w komisariacie.

Po schodach zszedł mężczyzna w cywilnym ubraniu i zatrzymał się na chodniku. Na jego twarz padł snop światła z policyjnego volkswagena i Miller go rozpoznał. Chodzili razem do szkoły średniej w Hamburgu. Nazywał się Brandt i był teraz młodszym inspektorem policji w Altonie.

– Cześć, Karl!

Słyszając swoje imię, młody funkcjonariusz odwrócił się i popatrzył na tłum za plecami sierżanta. Zauważył Millera w światłach z dachu wozu policyjnego i uniósł prawą rękę.

Uśmiechnął się szeroko; na jego twarzy malowało się zadowolenie i zdziwienie.

– W porządku, sierzancie, proszę go przepuścić. Jest nieszkodliwy.

Funkcjonariusz opuścił dłoń i Miller przeszedł koło niego. Uścisnął rękę Brandtowi.

– Skąd się tu wzięłeś, Peter?

– Jechałem za karetką.

– Cholerny sęp... Czym się teraz zajmujesz?

– Tym co zawsze. Dziennikarstwem. Jestem wolnym strzelcem.

– Wygląda na to, że ci się doskonale powodzi. Widuję twoje nazwisko w magazynach ilustrowanych.

– Starcza na życie. Słyszałeś o Kennedym?

– Tak. Cholerna sprawa. Wyobrażam sobie, co się w tej chwili dzieje w Dallas. Cieszę się, że to się nie zdarzyło w Hamburgu.

Miller skinął głową w stronę słabo oświetlonej sieni domu, gdzie paliła się naga żarówka, rzucając żółte światło na łuszczące się tapety.

– Samobójstwo. Jakiś mężczyzna otruł się gazem. Sąsiedzi poczuli zapach i wezwali policję. Dobrze, że nikt nie zapalił zapalki. Wszędzie cuchnęło jak cholera.

– Nie był to przypadkiem gwiazdor filmowy? – spytał Miller.

– Ależ tak, naturalnie. Zawsze mieszkają w takich miejscach. Nie, to jakiś staruszek. Wyglądał, jakby od dawna nie żył. Codziennie mamy takie przypadki.

– Cóż, miejsce, w którym teraz jest, na pewno nie jest brzydsze od tego domu.

Inspektor uśmiechnął się lekko i popatrzył na dwóch pielęgniarzy, którzy pokonali siedem ostatnich schodków i zeszli do sieni ze swoim ładunkiem. Brandt się obrócił.

– Odsuńcie się. Przepuście ich!

Sierżant natychmiast zaczął krzyczeć i odpychać tłum. Dwaj sanitariusze wyszli na chodnik i ruszyli w stronę otwartych drzwi karetki. Brandt i Miller poszli za nimi; Miller nieco z tyłu. Nie chciał patrzeć na zmarłego, nie miał nawet takiego zamiaru. Po prostu szedł za Brandtem. Kiedy sanitariusze dotarli do drzwi mercedesa, pierwszy z nich umocował nosze na prowadnicy, a drugi przygotował się, by je wsunąć do środka pojazdu.

– Niech pan poczeka – rzekł Brandt, odsłonił koc przykrywający twarz zmarłego i oznajmił: – To tylko formalność. Muszę napisać w raporcie, że asystowałem przy przenoszeniu zwłok do karetki i transporcie do kostnicy.

Wewnątrz mercedesa paliły się jaskrawe światła i Miller spoglądał przez dwie sekundy na twarz samobójcy. Miał wrażenie, że jeszcze nigdy nie widział kogoś tak starego i tak brzydkiego. Wskutek zatrucia tlenkiem węgla wargi zmarłego były sine, a skóra pokryta cętkami. Zresztą nawet za życia nie mógł być przystojny. Na łysej czaszce znajdowało się kilka kosmyków rzadkich włosów. Oczy były zamknięte. Twarz sprawiała wrażenie wycieńczonej, a z powodu braku sztucznej szczęki policzki były tak głęboko zapadnięte, że niemal doty-

kały wnętrza ust, co sprawiało, że martwy człowiek przypominał demona z filmu grozy. Prawie nie było widać warg i dochodziły do nich pionowe zmarszczki; Millerowi przypominała się zasuszona ludzka głowa spreparowana przez tubylców z dorzecza Amazonki, która miała zaszyte usta i wyglądała podobnie. Na policzkach mężczyzny były dwie nieregularne, pionowe blizny biegnące od skroni do kącików warg.

Brandt zerknął na zwłoki, przykrył je z powrotem kocem i skinął głową w stronę sanitariusza. Zrobił krok do tyłu, a mężczyzna wsunął nosze do ambulansu, zatrzęsął drzwiami i poszedł do szoferki. Gdy karetka odjechała, gapie zaczęli się rozchodzić.

– Skończone, idźcie już! – pomrukiwał na nich sierżant. – Nie ma nic więcej do oglądania! Wracajcie do domów!

Miller spojrzał na Brandta i uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Czarujące...

– Tak. Biedny dziadyga. Żaden temat dla prasy, prawda?

Miller zrobił zboląłą minę.

– Kompletnie bezwartościowy. Co noc ktoś popełnia samobójstwo. Ludzie umierają na całym świecie, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Teraz liczy się tylko śmierć Kennedy’ego.

Brandt roześmiał się szyderczo.

– Cholerni dziennikarze...

– Spójrzmy prawdzie w oczy. Ludzie chcą czytać tylko o Kennedym. Dlatego kupują gazety.

– Tak. Cóż, muszę wracać do komisariatu. Do zobaczenia, Peter.

Uścisknęli sobie dłonie i rozstali się. Miller ruszył z powrotem w stronę dworca kolejowego w Altonie, wjechał na główną drogę prowadzącą do śródmieścia Hamburga i po dwudziestu minutach wysiadł z jaguara na podziemnym parkingu przy Hansaplatz, dwieście metrów od domu, na którego najwyższym piętrze znajdowało się jego mieszkanie.

Trzymanie samochodu przez całą zimę na podziemnym parkingu było kosztowne, lecz stanowiło jedną z ekstrawagancji, na jakie sobie pozwalał. Lubił swoje dość drogie mieszkanie, ponieważ znajdowało się wysoko i miał z niego dobry widok na ruchliwy bulwar Steindamm. Nie przejmował się ubraniem i jedzeniem; mając dwadzieścia dziewięć lat i sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, rozwichrzone ciemne włosy i oczy, które podobają się kobietom, nie musiał nosić eleganckich ubrań. Zazdrosny przyjaciel powiedział mu kiedyś: „Zawróciłbyś w głowie nawet zakonnicy”. Miller przyjął to ze śmiechem, ale uwaga sprawiła mu przyjemność, bo wiedział, że to prawda.

Miał trzy prawdziwe pasje: sportowe samochody, dziennikarstwo i Sigrid, choć czasem ze wstydem przyznawał, że gdyby stanął wobec konieczności dokonania wyboru między Sigi a jaguarem, Sigi musiałaby znaleźć sobie innego kochanka.

Po zaparkowaniu samochodu przyjrzał mu się w świetle lamp palących się na parkingu. Uwielbiał na niego patrzeć. Zdarzało się, że przystawał, by go podziwiać, nawet zbliżając się do niego na ulicy. Niekiedy dołączał do niego jakiś przechodzień, który nie zdawał sobie sprawy, że auto należy do Millera, i mówił z podziwem: „Świetny wóz!”.

Normalnie młody dziennikarz pracujący jako wolny strzelec nie jeździ jaguarem XK 150 S. Części zamienne były w Hamburgu prawie nie do zdobycia, zwłaszcza że wersję XK, z której model S był ostatni, przestano produkować w 1960 roku. Miller sam naprawiał samochód; w niedziele przebierał się w kombinezon roboczy i spędzał długie godziny pod podwoziem lub grzebiąc w silniku. Maszyna miała trzy gaźniki i zużywała mnóstwo paliwa, które kosztowało masę pieniędzy, gdyż benzyna była w Niemczech bardzo droga, ale Miller nie żałował tego wydatku. Nagrodą były straszliwy ryk wydobywający się z rur wydechowych, gdy wciskał na autostradzie pedał gazu, i potężna siła wgniatająca go w fotel, kiedy brał zakręty na górskich drogach. Usztywnił zawieszenie przednich kół, a ponieważ jaguar miał z tyłu twarde resory, doskonale trzymał się nawierzchni – na zakrętach Miller bez trudu wyprzedzał innych kierowców, których samochody kołysały się na miękkich resorach. Wkrótce po kupnie auta Miller przemalował je na czarno i ozdobił żółtymi pasami na bokach. Samochód wyprodukowano w Coventry w Anglii i nie był to model przeznaczony na eksport, toteż kierownica znajdowała się po prawej stronie, co czasem stwarzało trudności przy wyprzedzaniu, lecz pozwalało zmieniać biegi lewą ręką, a prawą trzymać kierownicę. Miller lubił ten sposób prowadzenia.

Wciąż nie mógł się nadziwić, że udało mu się go kupić. Około pół roku wcześniej, w lecie, czekał w kolejce u fryzjera, by się ostrzyć, i otworzył magazyn muzyczny. Normalnie nie czytał plotek na temat gwiazd muzyki pop, ale nie było nic innego do czytania. Rozkładówkę poświęcono błyskawicznej

karierze czterech długowłosych młodych Anglików, którzy niemal z dnia na dzień stali się międzynarodowymi gwiazdami. Twarz z prawej strony, przedstawiająca młodzieńca o wydatnym nosie, nic mu nie mówiła, ale miał wrażenie, że gdzieś już widział trzy pozostałe osoby widoczne na fotografii.

Tytuły dwóch płyt, dzięki którym zespół stał się sławny, *Please Please Me* i *Love Me, Do* również nic mu nie mówiły, ale trzy twarze nie dawały mu spokoju przez następne dwa dni. I wreszcie go olśniło – dwa lata wcześniej, w 1961 roku, młodzi Anglicy śpiewali w niewielkim kabarecie koło Reeperbahn. Po kolejnym dniu przypomniał sobie jego nazwę; wpadł tam kiedyś na drinka, by porozmawiać z ważnym źródłem w świecie przestępczym, gdy zbierał informacje o gangu Sankt Pauli. Star Club. Pojechał tam i sprawdził umowy. Było ich wtedy pięciu – trzech, których rozpoznał, i dwóch innych: Pete Best i Stuart Sutcliffe.

Z kabaretu udał się do fotografa, który robił zdjęcia reklamowe dla impresaria Berta Kaempfert, i odkupił od niego na piu prawa autorskie do wszystkich zdjęć. Jego artykuł *Jak Hamburg odkrył Beatlesów* opublikowano prawie we wszystkich kolorowych tygodnikach i czasopismach muzycznych w Niemczech; przedruki ukazały się również za granicą. Za otrzymane pieniądze Miller kupił jaguara, którego zauważył wcześniej w salonie samochodowym; wstawił go tam brytyjski oficer, ponieważ jego ciężarna żona przestała się w nim mieścić. Z wdzięczności nabył również kilka płyt Beatlesów, ale puszczała je tylko Sigi.

Odwrócił się, wyszedł z parkingu po rampie prowadzącej na ulicę i ruszył w stronę mieszkania. Dochodziła północ i chociaż matka jak zwykle podała mu o szóstej obfity posiłek, znowu był głodny. Usmażył sobie jajecznicę i wysłuchał nocnych wiadomości. Mówiono wyłącznie o Kennedym, przede wszystkim omawiano jego związki z Niemcami, ponieważ nie było żadnych nowych informacji z Dallas. Policja wciąż szukała zabójcy. Spiker mówił obszernie o sympatii Kennedy'ego dla Niemców, jego wizycie w Berlinie latem poprzedniego roku i słynnym zdaniu wypowiedzianym po niemiecku: *Ich bin ein Berliner*.

Potem odtworzono nagrane wystąpienie burmistrza Berlina Zachodniego Willy'ego Brandta, przemawiającego głosem zduszonym z emocji, i odczytano oświadczenia kanclerza Ludwiga Erharda oraz byłego kanclerza Konrada Adenauera, który ustąpił piętnastego października.

Miller wyłączył radio i poszedł spać. Żałował, że w domu nie ma Sigi, bo lubił się do niej przytulać, gdy był w złym nastroju. Później zwykle uprawiali seks, po czym zapadał w twardy sen. Irytowało to Sigi, bo w takich chwilach zawsze miała ochotę rozmawiać o małżeństwie i dzieciach. Ale kabaret, w którym tańczyła, zamykano dopiero przed czwartą w nocy, a w piątki, gdy na Reeperbahn roiło się od przyjezdnych z prowincji i turystów, nawet później. Goście kupowali szampana dziesięć razy drożej niż w restauracji, by stawiać go ubranym w krótkie spódniczki dziewczynom o obfitych biustach. Sigi miała najkrótszą spódniczkę i największy biust.

Miller zapalił jeszcze jednego papierosa i za kwadrans drugą zasnął. Przyśniła mu się odrażająca twarz martwego starca ze slumsów Altony.

• • •

Kiedy w Hamburgu Peter Miller jadł o północy jajecznicę, w komfortowym salonie domu przylegającego do szkoły jeździeckiej w pobliżu piramid w Gizie siedziało pięciu mężczyzn. W Egipcie była pierwsza w nocy. Mężczyźni zjedli dobrą kolację, a wiadomość o śmierci Kennedy’ego, która dotarła do nich cztery godziny wcześniej, wprowadziła ich w znakomity humor.

Trzech z nich było Niemcami, pozostałych dwóch Egipcjanami. Żona gospodarza i właściciela szkoły jeździeckiej – ulubionego miejsca spotkań kairskiej śmietanki towarzyskiej i członków kilkunastotysięcznej kolonii niemieckiej – poszła spać, więc pięciu mężczyzn mogło rozmawiać swobodnie.

W skórzanym fotelu klubowym, obok okna zasłoniętego żaluzjami, siedział Hans Appler, niegdyś specjalista do spraw żydowskich w nazistowskim Ministerstwie Propagandy doktora Josepha Goebbelsa. Przyjechał do Egiptu tuż po zakończeniu wojny, przerzucony tam przez Odesę, przybrał arabskie nazwisko Salah Chaffar i został doradcą do spraw Żydów w egipskim Ministerstwie do spraw Etnicznych. Trzymał w ręce szklaneczkę whisky. Po jego lewej stronie siedział Ludwig Heiden, inny ekspert Goebbelsa, pracujący w tym samym ministerstwie. Przyjął wiarę muzułmańską, odbył pielgrzymkę do Mekki i zwracano się do niego „hadżi”. Z

powodów religijnych pił sok pomarańczowy. Obaj mężczyźni byli fanatycznymi nazistami.

Pierwszym Egipcjaninem był pułkownik Chams Edine Badrane, osobisty adiutant marszałka Abdela Hakima Amara, późniejszego ministra obrony Egiptu, w 1967 roku skazanego na śmierć za zdradę po wojnie sześciodniowej. Pułkownik Badrane popadł wówczas w niełaskę i przestał pełnić ważne funkcje. Drugim Egipcjaninem był pułkownik Ali Samir, szef Mukhabaratu, tajnej egipskiej służby wywiadowczej.

W kolacji uczestniczyła także szósta osoba, gość honorowy, który szybko wrócił do Kairu, gdy o godzinie dwudziestej pierwszej trzydzieści czasu kairskiego podano wiadomość o śmierci prezydenta Kennedy'ego. Był to Anwar as-Sadat, przewodniczący egipskiego Zgromadzenia Narodowego, bliski współpracownik prezydenta Nasera i jego następcy.

Hans Appler uniósł szklaneczkę.

– Kennedy, przyjaciel Żydów, nie żyje. Panowie, wznoszę toast.

– Mamy puste szklaneczki – zaprotestował pułkownik Samir.

Gospodarz nalał gościom szkockiej whisky z butelki wyjętej z kredensu.

Nikt z obecnych nie zdziwił się, że Kennedy'ego nazwano przyjacielem Żydów. Czternastego marca 1960 roku, gdy prezydentem Stanów Zjednoczonych był wciąż Dwight Eisenhower, w hotelu Waldorf-Astoria w Nowym Jorku odbyło się tajne spotkanie premiera Izraela Davida Ben Guriona z kanclerzem Niemiec Konradem Adenauerem. Dziesięć lat

wcześniej takie spotkanie byłoby niemożliwe. To, co wówczas uzgodniono, wydawało się niewiarygodne nawet w 1960 roku i właśnie dlatego szczegóły spotkania wyciekły do prasy dopiero wiele lat później, a prezydent Naser nie potraktował poważnie informacji dostarczonych pod koniec 1963 roku przez Odesę i pułkownika Samira z Mukhabaratu.

Dwaj politycy podpisali umowę, która przewidywała, że Niemcy Zachodnie udzielą Izraelowi kredytu w wysokości pięćdziesięciu milionów dolarów rocznie. Jednak Ben Gurion szybko się przekonał, że pieniądze to jedno, a bezpieczne i pewne źródło uzbrojenia to coś zupełnie innego. Pół roku później umowę z hotelu Waldorf-Astoria uzupełniono kolejnym porozumieniem, podpisanym przez ministrów obrony Niemiec i Izraela, Franza Josefa Straussa i Szymona Peresa. Przewidywało ono, że Izrael ma prawo wykorzystywać środki przyznane w ramach kredytu na zakup broni w Niemczech.

Adenauer, zdając sobie sprawę z niezwykle kontrowersyjnego charakteru drugiej umowy, zwlekał przez wiele miesięcy, aż do listopada 1961 roku, gdy pojechał do Nowego Jorku i spotkał się z nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych, Johnem Fitzgeraldem Kennedym. Prezydent zaczął wywierać naciski na sojusznika. Nie chciał eksportować amerykańskiej broni bezpośrednio do Izraela, lecz zależało mu, by Izrael ją otrzymał. Państwo żydowskie potrzebowało myśliwców, samolotów transportowych, haubic kalibru sto pięć milimetrów, dział, wozów bojowych, transporterów opancerzonych i czołgów. Przede wszystkim czołgów.

Niemcy mieli to wszystko, przeważnie produkcji ame-

rykańskiej – sprzęt wojskowy kupowano w USA w ramach umowy offsetowej zawartej z NATO, przewidującej stacjonowanie wojsk amerykańskich w Niemczech, lub produkowano na amerykańskiej licencji.

Pod naciskiem Kennedy'ego umowę Strauss-Peres wprowadzono w życie.

Pierwsze niemieckie czołgi zaczęły docierać do Hajfy pod koniec czerwca 1963 roku. Trudno było utrzymać to w tajemnicy przez dłuższy czas – w operacji uczestniczyło zbyt wiele osób. Odessa dowiedziała się o dostawach uzbrojenia dla Izraela pod koniec 1962 roku i szybko poinformowała Egipcjan, z którymi jej agenci mieli doskonałe kontakty.

W drugiej połowie 1963 roku sytuacja zaczęła się zmieniać. Piętnastego października ustąpił i przeszedł na emeryturę nazywany Lisem z Bonn i „Granitowym Kanclerzem” Konrad Adenauer. Jego miejsce zajął Ludwig Erhard, polityk cieszący się popularnością w społeczeństwie jako twórca niemieckiego cudu gospodarczego. Niestety, był słaby i chwiejny w polityce zagranicznej.

Nawet w czasie kadencji Adenauera grupa członków zachodnioniemieckiego rządu żądała unieważnienia kontraktu na sprzedaż broni do Izraela i wstrzymania dostaw, nim się zaczęły. Stary kanclerz uciszył ich kilkoma lapidarnymi zdaniem, a miał taką władzę, że zamilkli.

Erhard był zupełnie innym człowiekiem, nazywano go Gumowym Lwem. Kiedy został kanclerzem, frakcja przeciwników eksportu broni do Izraela, związana z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, które starało się utrzymać dobre

stosunki z krajami arabskimi, znów zaczęła krytykować projekt. Erhard zaczął się wahać. Jednocześnie John Kennedy z determinacją wywierał presję na Niemcy, by tę broń przekazywały.

Później Kennedy zginął w zamachu. Wczesnym rankiem dwudziestego trzeciego listopada największym problemem było pytanie, czy prezydent Lyndon Johnson przestanie naciskać na Niemcy i czy pozwoli niezdecydowanemu kancelarzowi z Bonn wycofać się z kontraktu. Nie zrobił tego, ale w Egipcie bardzo na to liczono.

Gospodarz przyjęcia odbywającego się pod Kairem napełnił gościom szklaneczki, po czym podszedł do kredensu i nalał sobie whisky. Nazywał się Wolfgang Lutz i urodził się w 1921 roku w Mannheimie. Był niegdyś majorem Wehrmachtu i fanatycznym antysemitą; w 1961 roku wyemigrował do Kairu i otworzył szkołę jeździecką. Miał jasne włosy, błękitne oczy i szczupłą twarz. Był ulubieńcem kairskiej elity politycznej oraz kolonii niemieckiej mieszkającej nad Nilem, złożonej głównie z nazistów.

Odwrócił się w stronę gości i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Jeśli miał on w sobie coś fałszywego, nikt tego nie zauważył. A miał. W rzeczywistości Lutz był Żydem pochodzącym z Mannheimu i w 1933 roku, w wieku dwunastu lat, wyemigrował do Palestyny. Nazywał się Zeew i miał rangę *raw seren* (major) armii izraelskiej. Był w tym czasie najważniejszym agentem wywiadu izraelskiego w Egipcie. Dwudziestego ósmego lutego 1965 roku przeprowadzono rewizję w jego domu i odnaleziono nadajnik ukryty pod kafel-

kami w łazience. Lutz aresztowano, po czym dwudziestego szóstego czerwca tego samego roku skazano na dożywotnie ciężkie roboty. Wypuszczono go pod koniec 1967 roku – jako część wymiany na tysiące egipskich jeńców wojennych. Czwartego lutego 1968 roku wrócił wraz z żoną do Izraela samolotem, który wylądował w porcie lotniczym Lod.

Ale w dniu, gdy zamordowano Kennedy’ego, wszystko to należało do przeszłości – aresztowanie, tortury, zbiorowy gwałt na żonie. Lutz uniósł szklaneczkę w stronę uśmiechniętych twarzy gości.

W rzeczywistości nie mógł się doczekać, by wyszli, bo podczas kolacji jeden z nich powiedział coś, co miało ogromne znaczenie dla Izraela. Lutz pragnął zostać sam, iść do łazienki na piętrze domu, wyjąć nadajnik ze skrytki pod kafelkami i wysłać wiadomość do Tel Awiwu. Mimo to zmuszał się do uśmiechu.

– Śmierć Żydom i ich przyjaciółom! – wzniósł toast. – *Sieg Heil!*

• • •

Nazajutrz rano Peter Miller obudził się tuż przed dziewiątą i przeciągnął się leniwie pod wielką puchową kołdrą, która przykrywała szerokie łóżko. Czuł ciepło Sigi leżącej obok i odruchowo przytulił się do niej od tyłu, tak że jej pośladki dotknęły jego brzucha, co automatycznie wywołało u niego erekcję.

Sigi, śpiąca zaledwie od czterech godzin, prychnęła z irytacją i odsunęła się w stronę skraju łóżka.